NUMER 33. DNIA 26. SIERPNIA 1906 ROKU. ROK XIV.

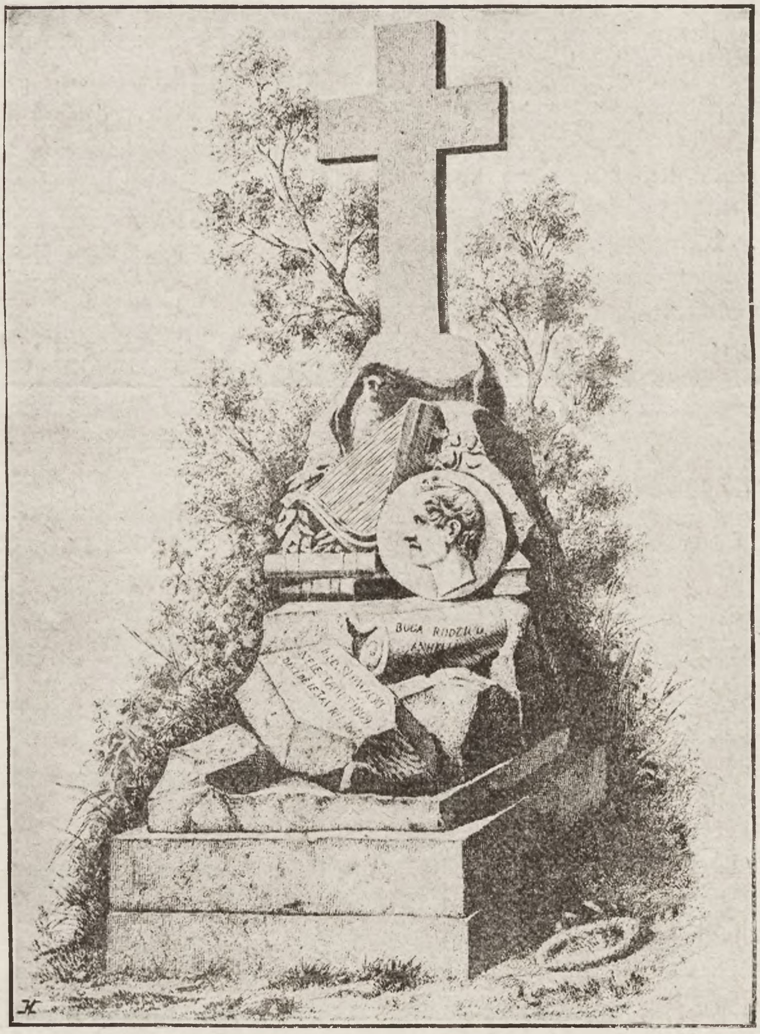
TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

GRÓB SŁOWACKIEGO.



Hen, na dalekiej... na francuskiej ziemi
Jest ciche miejsce, tęsknym sercom miłe,
Szemrze tam brzoza listkami srebrnemi
I smutne rosy trzęsie na mogiłę;
Na grób niekiedy padnie kwiatek świeży,
A pod mogiłą — wielkie serce leży!..

Przetlałe dawno w garść popiołu lichą,
W powiewów wschodnich zasłuchane szumie,
Leży to serce spokojnie i cicho,
W jakiejś królewskiej, przeraźliwej dumie,
I tylko czasem buchnie strasznym szlochem,
I krwią zapłynie... chociaż jest już prochem!...

OR-OT.

„Kto, mogąc wybrać, wybrał zamiat domu gniazdo na skałach orła“.

Są idee, które słusznie możnaby nazwać: — bezdomne.

Nie mają one urzędowych przybytków kultu, ani płatnych kapłanów. Kto szuka kopalni interesu w ideach, dla tego gość taki niepożądany, bo ma zdradziecki zwyczaj odpłacać się z kieszeni samego gospodarza ofiarą. To też kwalifikację na godność kapłańską stanowi tu zdolność bohaterstwa, nagrodę czasem podziw, częściej zniewaga i szyderstwo. Ach! ten podziw tak rzadko szczery, tak bardzo literacki, zimny i niechętny, bo ci, co klaszczą, wolą kołysankę i mierność ubraną w jeneralski mundur. A gdy śmierć nieszkodliwemi uczyni usta bohatera, na jego martwej piersi zawiesza patentowany krytyk order pochwały... z zastrzeżeniami. I staje nad opuszczonym grobem jego straż, aby nie zmartwychwstał. ...Niestety. Bohater ma, wprawdzie niewielu, wielbicieli i ci przychodzą po ciało, chcąc je przenieść do świętych, czczonych miejsc. Straż wzbrania a na głaz grobowy wstępuje krytyk i z tryumfem ukazując tłumom poplamiony szlafrok, woła:

— Patrzcie, oto bohater!

— Nie, panie, to szlafrok.

— Ba, ale czyż bohaterowi wolno chodzić w szlafroku? czyż niema przepisanego stroju — złotej zbroi i skrzydeł anielskich?

— Naiwna lub obłudna pretensja. Bo gdyby był, czem chcecie, czyż byłby „żył, kochał i cierpiał z wami“?

Zresztą ten targ o trumnę, w gruncie mało wart; najczęściej waśń tu o miejsce i straż. To pokłon najczęściej przed wielkością, przed urokiem bohaterstwa — treść wewnętrzna pozostaje nadal niezrozumiała, idea bohatera bezdomna. I zdarza się, że i ta honorująca straż, postępkami i słowy znieważa ową ideę, dla której bohater „zgodził się mieć niepłakaną trumnę“. Wtedy idea idzie na dalszą tułaczkę. Tam i ówdzie w młodzieńczych sercach znajduje przytułek. Na długo? Rychło jest wygnana. Pozbywa się bowiem młodości dusza łatwo; a gdy ugoda z życiem codziennem zawarta, ostrożność każe buntownika wypędzić, oczyścić dom z wszelkich pamiątek po nim. Niechże już nic miłej nicości nie wadzi.

Z noclegu na nocleg leci bezdomny ptak — na wyraj — aby po przeminięciu trupiej pory powrócić w wiosenny czas na ostateczne zwycięstwo. Takie są losy i dzieje bezdomnych idei.

* * *

Słowacki pośród naszych bohaterów-poetów był najbardziej, nawskroś bezdomnym. Miał też silne tego poczucie:

„Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi Boże.

Ale nie w tem jest istota jego bezdomności, że prawie pół życia na tułaczce spędził, że do końca dni swoich nie znalazł serca, coby mu w całej pełni wezgłowiem ukojeń było. Najgłębszą przyczynę bezdomności Słowackiego stanowiło nieprzystawanie świata jego duszy i idei z otaczającym światem współczesnych swoich. I temu poczuciu poeta dał silny wyraz:

Już prawie jestem człowiek obłąkany:
Ciągle powiadam, że kraj się już pali
I na świadectwo ciskam ognia zdroje —
A to się pali — tylko serce moje!...

Otóż ten właśnie rozdźwięk powoduje zasadniczo odosobnienie poety; z niego rodzi się ów dumny smutek bezdomnych bohaterów, który, choć nieukazywany światu, wyciska piętno cierpienia i dziwnej melancholji na ich postaciach.

Kto nie ma w ziemi miejsca w jakiej trumnie?
Chyba przeklęty, lub nadto wysoki,
Podobny smutnej na polu kolumnie,
Co tylko głową gwiazdy i obłoki
Kochała, zawsze wyglądając dumnie,
Chociaż jej siostry upadły w potoki
Cefizu i tam leżą w modrej fali...
Lecz kto tak dumnie żył, czemuż się żali?

Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orła: niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu,
I słychać jęk szatanów w sosen szumie...
Tak żyłem. Teraz widzę pełen sromu,
Że mam łez pełne oczy, lecz je tłumię
I nie chcę wyznać, że mi przed mogiłą
Z aniołem śmierci żyć tak straszno było...

Owe „tłumione łzy“, owa nieodwołalność przeznaczeń, które sobie z wyboru i konieczności ustanowił — nadają wzruszający, głęboki charakter nawet erotykom Słowackiego.

(Dokończenie nastąpi).

Adam Zagórski.

OEHLENSCHLÄGER.

Duński śpiew narodowy.

Przepiękny kraj to nasz,
Gdzie nad mórz słonych brzegiem
Trwa buków starych straż.
We wieńcu stoi dolin, gór
Kochana Danja nasza,
Właść Freji i jej dwór.

W czas dawny, jako baśń,
Tu żyły zbrojne woje,
Gdy ścichła mieczów waśń.
Lecz znowu wrogom swym na zgon
Szli w bój. Wzgórz dzisiaj głazy
Ich kościom dały schron.

Ziemia to pełna kras,
Modro się winie morze,
W zieleni stoi las.
Szlachetne panie, dziewy - cud,
Męże i młodzież dzielna,
To wysep duńskich lud.

Południa stwarża dziw
W Północy, Danjo zielna,
Ziemia Twych kłośnych niw;
Żeglarz wód dumnie pruje smug,
Nie zdradzi tam nadzieja,
Gdzie orze łódź i pług!

Nasz język zna moc, czar —
Czystą jest wiara nasza,
Nie zmarł w nas męstwa żar.
Trwaj, Danjo droga, w wieków dal,
Póki buk szczyt swój będzie
Zwierciedlił w łonie fal!

Tłóm. LEOPOLD STAFF.

(Przyjacielowi C. M. poświęcam).

BRONISŁAW SZWARCE.

PAMIĘTNIKI.

(1834 — 1903).

(Ciąg dalszy).

A pod Lipką było bardzo ważne stanowisko, bo prawie naprzeciwko Arsenału i kilkaset kroków od Banku Polskiego. Dlatego też kolega ojca, Ksawery Bronikowski, który z Maurycym Mochnackim miał podburzyć cywilną ludność Warszawy, przeznaczył go z innymi do szturmu Arsenału. Kiedy o 7-mej wieczór, 29. listopada 1830 r., zagrzmiały strzały w Łazienkach i pod Belwederem, a dwa płonące domki na Nowolipiu dały znać całej zachodniej Warszawie, że się powstanie zaczęło, Józef Szwarce z innymi rzucił się do opanowania Arsenału, (którego warta polska wcale nie broniła) i do rozdawania broni ludowi. Wiele, wiele lat później, zacny Norbert Jeska, kolega ojca, ale później wiceprezydent miasta Warszawy, miał mi to przypomnieć: „Taki sam! taki sam, jak ojciec, kiedy brał Arsenał“. A tymczasem pułk czwarty, pod dowództwem niższych oficerów, zajął Bank Polski i oswobodzono więźniów stanu u Karmelitów na Lesznie. Za te wszystkie wybryki Józef Szwarce, syn Macieja, został później zaocznie na śmierć skazany przez Najjaśniejszego, szczęśliwie wówczas panującego, Mikołaja I., cesarza wszech Rosji, króla Polskiego etc. etc. Widać, że niedaleko miało upaść jabłko od jabłoni.

A dla niespokojnego Patrona Trybunału Mazowieckiego chwila niezupełnie była stosowna, jak i dla wielu innych: przyspieszyła wybuch wiadomość, że na wiosnę 1831 roku wojsko polskie miało wyruszyć jako awangarda (inni mówią jako arjergarda) sił rosyjskich dla zgniecenia francuskiej Rewolucji Lipcowej. Naród francuski dość długo pamiętał o tej usłudze, za któraśmy tak drogo zapłacili; ale rząd Lipcowy przeprosił najuniżeniej Mikołaja, a dziś — Republika ma „a l j a n s f r a n k o r j u s“. Młody prawnik miał w drugie święto Bożego Narodzenia wziąć ślub z panną Emilją Ekeltówną, i jak mówi ciocia, najął już mieszkanie na Lesznie — ale św. Saturnin do innych ślubów go zawezwał. Nie poprzestał jednak na takiem warcholstwie. Dnia 1. grudnia zakipiał gniewem po przeczytaniu patrjotycznej odezwy, podpisanej przez „czoło narodu“, X. Adama Czartoryskiego, ministra Walentego Sobolewskiego, ministra X. Ksawerego Lubeckiego, X. Michała Radziwiłła, kasztelana Michała Kochanowskiego, Ludwika hr. Paca, Juljana Ursyna Niemcewicza (o Kościuszko! gdzieżeś był!) a którą warto tu przytoczyć *ad perpetuam rei memoriam:*

„Polacy!

Równie smutne, jak niespodziewane wypadki wczorajszego wieczora i nocy spowodowały Rząd

do przybrania do grona swego obywateli z zasług swych znanych i do odezwania się do Was.

Nayiaśniejszy Wielki Xiąże Cesarzewicz woyskom rosyiskim wszelkiego działania wzbronił, gdyż rozdwoione umysły Polaków Polacy sami skoiarzyć powinni.

Czy Polak w krwi bratniey ma broczyć dłoń swoię?

Chcielibyście dadź światu widok naywiększego dla kraiu nieszczęścia, domowey niezgody?

Własnem umiarkowaniem iedynie ocalić się możecie od pogrążenia się w przepaści, nad którą stoicie! Wróćcie zatem do porządku i spokoyności, a wszelkie uniesienia niech przeminą z nocą, która ie pokrywała.

Pamiętaycie na przyszłość drogiey, a tylu nieszczęściami skołataney Ojczyzny: oddalcie wszystko, coby mogło narazić nawet samo IEY istnienie. Do nas będzie należało dopełnić powinności naszey, w zapewnieniu bezpieczeństwa ogólnego w poszanowaniu praw i konstytucyinych swobód kraiowych“.

Dlaczego ojcu się ta odezwa nie podobała, nie wiem, kiedy była zupełnie w teraźniejszym Galicyjskim stylu napisana; prawda, że inny był Najjaśniejszy wówczas, ale o to idzie, żeby tylko był, choć jakikolwiek. Dość, że niepoprawny złotnikowicz udał się do Ratusza, na Senatorską, z kupą takich samych jak on warchołów i tam założyli pod przewodnictwem Ksawerego Bronikowskiego, prawnika, „Towarzystwo czyli klub patryotyczny, którego zamiarem było wpływać na opinią publiczną, powodem zaś obawa, iżby chwiejące się i zbyt powolne w rewolucji postępowanie tymczasowego Rządu, w czasie, gdy nieprzyjaciel trzymał jeszcze stanowisko pod murami stolicy, nie zgubiły sprawy powszechnej“. Dzień następujący, 2. grudnia, doprowadził tych warchołów — albo jak Akademicy raczyli się odezwać do Chłopickiego — „kilku szaleńców“ do wściekłości, kiedy przeczytali, że rząd posłał do Konstantego delegację; która przywiozła takie zapewnienia:

1. Jego Cesarzewiczowska Mość oświadczył, iż nigdy nie miał myśli atakowania Warszawy — a gdyby atak jaki mógł nastąpić, Jego Cesarzewiczowska Mość obiecuje o tem ostrzedz Radę 48 godzinami wprzódy.

2. Jego Cesarzewiczowska Mość obiecuje wstawić się do Najjaśniejszego Pana, ażeby w łaskawości swojej przeszłość raczył puścić w niepamięć.

Więc Klub wybrał z łona swego deputację z 12 członków, między którymi był Józef Szwarce, jak możecie czytać u Mochnackiego, I. 190., celem podniesienia rządowi następujących punktów:

„1. Aby Jenerał Chłopicki, Wódz Naczelny wojska polskiego, natychmiast odebrał rozkaz do działania w celu zniszczenia lub rozbrojenia nieprzyjaciela.

2. Aby obywatele z prowincyi uzyskali upoważnienie do urządzenia powstania w kraju.

3. Aby ministrowie i zastępcy ministrów otrzymali obserwacją straży narodowej do dalszego z nimi postępku.

4. Aby żony wojskowych i urzędników rosyjskich otrzymały straż, ponieważ w ciągłych zostają stosunkach i korespondencji z mężami swymi.

5. Aby z Cesarzewiczem w żadne układy nie wchodzić; Cesarzewicza mieć jako rękojmię bytu narodowego, a negocjować z Petersburgiem.

6. Aby Dyrektor poczty zmieniony został.

7. Aby ci dowódzcy wojska polskiego, którzy dotąd się nie połączyli z narodem i nie oświadczyli się za nami, zostali obwołani zdrajcami kraju, przy zastosowaniu tej formalności, aby parlamentarz Jenerała Chłopickiego naznaczył im do tego termin trzech godzin.

8. Aby natychmiast przystąpiono do wykonania tych życzeń. Jeżeli zaś w dniu jutrzejszym nie będą wykonane, natenczas rząd tymczasowy zniewolony będzie przyjąć do swego grona kilku członków z Towarzystwa patryjotycznego, jakich mu takowe zgromadzenie poda“.

Ten ostatni punkt wszystko popsuł — on i tak śmierdzi prywatą. Bronikowski razem z ojcem moim mógł być dobrym prawnikiem, ale okazał się kiepskim politykiem. Świetny rząd tymczasem „dogodził ich życzeniu w ostatnim punkcie zamieszczonemu“ i przyzwał do asystowania swym obradom czterech członków klubu PP. Bronikowskiego, Machnickiego, Mochnackiego Maurycego i Plichtę Andrzeja. Przedtem już zaanektował był Lelewela. (C. d. n.)

STEFANJA ŁOZIŃSKA.

ZOŚCYNE WESELE.

— U - ha - ha!.. u - h a - ha!..

— Oj! dy - dy - dy!... dy - dy!... ciągną gęśle.

— Uh! wum - wum! .. uh! wum - wum!..

To ci grają!..

Stróżczyk przyłożył skrzypki do czerwonej twarzy a macha smykiem, aż się uznoił. Małe oczka płoną z uciechy, co spojrzy na bas Bielaskiego, to ino zęby doń pokazuje i przechyla się do taktu. Bo też gra... niech go djasi!!

Nie darmo przezwali go „Janiołkiem“ i chyba w niebie skoczniej nie graliby. Tupot taki w izbie — słowa nie usłyszysz, ino ci te gęśle w nogi idą i „dyrdasz“ w miejscu. Chciałbyś ułapić dziopę k' sobie — a hulnąć w środek!

Rety!...

A tu miejsca nijak... Ludzi moc.

Pod oknami na ławie gazdynie radzą, w kącie dziewek jak nabił; pod piecem pobrały się dzieci w koszulach i wywijają, co bose nogi starczą. Zawczasu muszą się uczyć, aby tak, jak matuś. Parobcy bo w drzwiach stoją.

Co chwilę, któryś oderwie się z ścisku, poprawi pas i kapelusz, splunie, zębami przytnie papieros i mrugnie albo palcem kiwnie na dziewczynę. On się w boki „ułapi“ a ona go oburącz za serdak z tyłu i tak docisną się do basów. Kielo-telo[1]) rzuci grajkom, a zadarłszy głowę, śpiewa:

he! ty dziewcynuu - u...
he! syrca kaminnygu - u...
he! daj mi gembusie - e...
he! nie patrz na innygu - u!..

Tupnął — i w kółko.

Bose nogi kobiet nie czują deptania a obute mężczyzn suną, podskakują, walą i ogłuszają. Pyły, wzbite tumanem, zasnuły zachód boży a szybkie oddechy wzniecają skwar w izbie, żar w krwi... Posuwają się, ocierając w tłumie ciałami. Barwne sznurki[2]) migają błyskawicami a ochota... do zapamiętania!

Aż tu masz — urwali! Bodaj - cie!... Zostawiają na środku kobiety, wywinąwszy się pod rękę — jak zwyk każe! Starsze opadają na ławy, bo het! „zdarły“ nogi; młode gibkie, jak wrzeciona, wybiegają w pole. Za nimi parobcy. Wali się dźwirzami młódź, poszturkując, w pół obłapiając... Spocone, twarde dłonie włosy gładzą, abo się bronią natarczywości błyszczących oczu i ustom płonącym.

Lubo im w chłódku podwórza — milej pod spojrzeniem wybranego, bo każda ma swego frijirza.[1])

...jaka mi to — jaka!
dziewczynina taka...
...sama się zabrała...
chłopca poniechała!..

— To Wojtek Paryjów... is?

— Śpiwo... cichojcie... pst...

— Dy! po tabak posed...

— Ojej! tańcowałam, jaze mi w dychoku[2]) zaparło...

— Pokaz! — podleciał Krężel — jak? chciał ją uchwycić.

— Ee! szarpnęła — waruj sie![3])...

— Lekkoś — jak kłonica!..

— Ha!.. ha... ha... buchnęło.

Ino Jasiek ostał w izbie, na skrzyni siedzi, i dziwuje się; fajkę kurzy, po forztach[4]) pluje i patrzy...

Jego wesele...

— Pan młody! a - dyć siedzi, jak kwicol[5]) pod krzokiem! — krzyknięto mu nad uchem.

Porwał się.

Pójdzie zajrzyć do żoninej chałupy.

— Jakze to?.. duma. Ozeniuł sie z Zośkom... od maluśka ją kciał... a ona ani z nim potańcy... wse krzywo... ani pojrzy...

Zawdy jednaka była...

Westchnął. Spojrzał na niebo, na zmierzch cichy — na iskry gwiazd...

...Dadzom ci jom, dadzom,
piknie przyprowadzom...

leciał głos po echach, gwar zmieszanych śpiewów zawisał na rosie, drżał dźwiękami bujnej radości, wesela...

Bokiem spojrzała Zośka na wchodzącego męża. Stała wele skrzyni z przyodziewą.

— Rozodzieję sie, matuś...

— A dy sie rozonac[6])...

Dziewczyna przysiadła na krawędzi łóżka i poczęła przebierać się w gorset, zciągając czerwone tasiemki.

Jasiek o piec się oparł.

---

[1]) Cośkolwiek. [2]) Wstążki.

[1]) Kawalera. [2]) W piersiach. [3]) Strzeż się. [4]) Podłodze. [5]) Kwiczoł. [6]) Rozbierz.

Obejmował wzrokiem policzki Zośki rozgrzane tańcem, purpurowe usta, mignęły mu zarysy krągłych piersi, odciśniętych na cienkiej koszuli.

— Radujom sie straśnie — przemówiła matka — a ty Jasiek!... nie bieres Zośki w toniec?..

— A popila[1]) mi to?.. wykrzyknęła pani młoda.

— Dy jakze?... zapytał.

— Jee!.. bajdula[2])... odpowiedziała stara i poszła po placki do komory.

Jasiek skoczył i stanął przed dziewczyną.

— Zośka-a!.. na nic te fąfy!..[3]) Moja-ś!..

— Heeej?? Iskrzącymi oczy wpiła mu się w źrenice. Brałeś me... a pytałeś, cy cie kcę?..

— A ino?.

— Rodzicieli-ś ino pytoł... idź se do nich!.. Wykręciła się do lusterka.

— A takiś moja! — szepnął. Ksiondz nas zwionzał... na kukanie[4]) casu ni mom...

— Ani telko twoja, co mak![5]) — odżachnęła. Ociec kcioł wela gruntu, to i je... a ty sie postrzygoj!!.. Ty do mnie nie mas nic... wiana to se pilnuj... a do cię nie pódę!.. nie pódę!! — tupnęła wysokim trzewikiem. — Nie radam twojej chałupie... z tym pysczyskiem zakurzonym, ty... sietnioku!..[6])

Wybiegła do „tanecznej" na przełaj ogrodem, uginając spodnicy.

Pilno jej było do zabawy. Oj! kieby nie rodziciele... nie poszłaby za takiego, co się obyrtać[7]) nie umie... Ślubna mu jest... ale taki się „zacepić" nie dała i do niego nie pójdzie. Niech — ta! Skoczyła do izby, krzycząc: zydka grajcie!!

— Zydka!.. powtórzyli.

Gęśle ucięły znagła a pary poczęły się kręcić, przerywać, kłaniać do ziemi. Pani młoda furka, jak ptak i zanosi się od śmiechu.

— Kajze pan młody? pytają się.

— Utopił sie w serwatce... odkrzykuje, a goście hukają i tupią i skaczą, co ani...

Jasiek na przyzbie siadł; słyszał żydka, potem „obyrtanego" i... spluwał.

— Głupia!.. syćkie te baby na jedność![8]) Ona jego i tak!.. Nieponiewolił, ale... strząsł ramionami. Ino to granie!.. Hej!..

Widzi, jak Zośce furkają wstążki i zalatują na szyję tancerza... a on taki sam! Mdło mu w tych echach muzyki i cnie, cnie za nią — choć mu krzywa...

Sietniokiem mu bryzła, a on-by jom parą[1]), brał k' sobie... oj! parą!.. Zeby on śmiałość miał! Cnie okrutnie... Takie-ci Jaśku wesele, radowanie!

Splunął i porwał się za nią do chałupy. ...Juści! potrza mu na nią patrzeć, ciągiem patrzeć!..

(Dok. nast.)

[1]) Chce mi się. [2]) Plecie. [3]) Fochy. [4]) Na romanse. [5]) Ani trochę. [6]) Niedorosły. [7]) Obracać. [8]) Jednakowe.

[1]) Tchem.

J. WŁ. REISS.

Uwagi o wychowaniu muzycznem.

(Dokończenie).

U nas nauka śpiewu w szkołach tak ludowych, jak średnich, znajduje się w zupełnem zaniedbaniu. Śpiew traktuje się jako przedmiot poboczny, niegodny stanąć w równym rzędzie z innymi przedmiotami programu szkolnego. Niezwykle szczupła garstka uczniów w szkołach (bo 9—10 proc. ogółu!) pobiera naukę śpiewu, jakkolwiek niema najmniejszej przeszkody, ażeby wszyscy uczniowie korzystali z tej nauki, gdyż stwierdzonym jest faktem, że absolutnie „niemuzykalnych" ludzi niema, a pewnego rodzaju ospałość lub niechęć uczniów do śpiewu zwalczyć się da, jeśli się naukę prowadzi wytrwale i cierpliwie od samych początków.

Nauka śpiewu w naszych szkołach ludowych jest przeważnie marnotrawieniem czasu, a prowadzona często nieumiejętnie przynosi raczej szkodę, zwłaszcza, że się odbywa wśród nader niehygjenicznych warunków. Po opuszczeniu szkoły ludowej wychodzą dzieci zupełnie nieprzygotowane, bez znajomości nut, niezdolne „wykrztusić" ani jednego tonu, z zepsutym raczej niż rozwiniętym „słuchem". Taki materjał dostaje się nauczycielowi śpiewu w szkole średniej. Niewiadomo, od czego zacząć! Nauczyciel, mając przeznaczone zazwyczaj 4 godziny nauki w tygodniu, ma stworzyć chór, przygotować pieśni na wszystkie okresy kościelne, wszelkie uroczystości, pogrzeby i t. p. (a w Galicji wschodniej ma się aż *dwa* chóry, polski i ruski, których wobec roznamiętnienia narodowego nawet złączyć nie można!). Skąd wziąć na to czas?

Chcąc najbardziej ekonomicznie postąpić, można jedną tylko godzinę poświęcić z tego nauce muzyki (czyli tzw. „teorji") — gdyż praktycznego śpiewu zaniedbać nie wolno. Nad tem

czuwa pan dyrektor, nagli i domaga się jak najobfitszego repertuaru (a w małych miastach popisu wobec publiczności, bo przecież z pracy nauczyciela spływa blask na sprężystość i zapobiegliwość kierownika, dbałego również o estetyczne kształcenie młodzieży!) Tymczasem nauka w ten sposób prowadzona nie stoi żadną miarą na wysokości zadania i nie wyda żadnych rezultatów. — Chór musi się ustawicznie uzupełniać z najróżnorodniejszych powodów (mutacja, stały odpływ wyćwiczonych już sił i w. i.), tak, że z konieczności trzeba przyjmować do chóru nowe siły z oddziału teoretycznego, jakkolwiek nie zdobyły sobie jeszcze niezbędnych, elementarnych wiadomości („analfabetów“) i wtłaczać im mechanicznie w uszy melodję. Obraz niepocieszający, a jednak prawdziwy.

Jasną jest chyba rzeczą, że konieczna jest w tym kierunku reforma i to jak najdoraźniejsza. Nie ulega wątpliwości, że w dziedzinie wychowania muzycznego stoimy dzisiaj na znacznie niższym poziomie, aniżeli wieki poprzednie, które w swoich „scholae cantorum“ kształciły nietylko śpiewaków, ale znakomitych kompozytorów. Jak wysoki stopień rozkwitu osiągnęła nauka muzyki w samej Polsce, dowodem tego wiek XVI., który wydał tylu wytrawnych mistrzów. Jeden z nich Mikołaj Gomółka już w 16. roku życia ogłosił drukiem: „150 melodji do Psalmów Jana Kochanowskiego“, utwór, który go postawił w pierwszym rzędzie między „klasycznymi“ mistrzami „złotego wieku“. Podobnych przykładów, świadczących o wysokim poziomie wychowania muzycznego, naliczyć można mnóstwo.

Na czele reformy dzisiejszego wychowania kroczy zagranica: Anglja, Szwajcarja (Genewa) i Niemcy, gdzie zastęp wykształconych pracowników stara się sprawę pchnąć na nowe szlaki. Naukę muzyki można rozpocząć z maleńkiemi dziećmi, lecz materjał dostosować należy do fizycznego rozwoju dziecka. Nauka ma na podstawie zmysłowych wyobrażeń („poglądu“) wywołać i rozwinąć stopniowo i systematycznie w umyśle dziecka zrozumienie i poczucie muzyczne.

Na kilka lat przed rozpoczęciem gry na jakimkolwiek instrumencie należy dziecko zaznajomić z głównemi *zasadami* muzyki zapomocą śpiewu i połączonych z nim ćwiczeń akustycznych i zapomocą ćwiczeń rytmicznych, polegających na gimnastyce rąk, palców, przegubu, mięśni... Pierwsze ćwiczenia głosowe mają na celu wykształcenie słuchu, przy pomocy którego dziecko zdoła oznaczyć różnicę między całym a półtonem bez pomocy jakiegokolwiek instrumentu, następnie odróżniać odległości tonów (interwały), a nawet przez częste wsłuchiwanie się oznaczać ich wysokość już wtedy, zanim palcami potrafi wydobyć je mechanicznie. Dziecko może z czasem dojść do niezwykłej wprawy w czytaniu najtrudniejszych skoków melodji, gdy tymczasem dzisiaj spotyka się powszednie zjawisko, że pianiści z wysoko posuniętą techniką nie potrafią zaśpiewać z nut najprostszej melodji.

Drugim środkiem metody jest poznanie naturalnych *praw rytmu* zapomocą ćwiczeń gimnastycznych, które mają obudzić *poczucie* rytmu, rozwinąć w dziecku zdolność, by mogło pewną przestrzeń czasu podzielić na równe części rytmiczne. Ćwiczenia te mogą rozwinąć naturalne zdolności lub wyleczyć wrodzone ułomności i braki. Statystyczne dane stwierdzają, że metodą tą dochodzi się do znakomitych rezultatów. Kto tej szkoły nie przebył, nie potrafi opanować dzisiejszej rytmiki muzycznej, tak wzbogaconej od czasów Beethovena i Chopina. Tem się też tłumaczy, dlaczego większość naszych pianistów (a zwłaszcza pianistek) grzeszy zupełnym brakiem „taktu“ i poczucia rytmicznego.

Postępując dalej wskazaną drogą, rozumie dziecko pojęcie „melodji“, poznaje różnice dynamiczne, zmiany tonacji, znaczenie harmonji.

Gdy dziecko przebyło taki „kurs przygotowawczy“, wtedy dopiero można przystąpić do nauki instrumentu, zwłaszcza, że podczas „przygotowania“ można się przekonać, czy nauka będzie miała warunki powodzenia, czy nie. Ile to zawodów oszczędzi się w takim razie i dziecku, którego nie maltretuje się „fortepianem“ i otoczeniu, które wie, na czem oprzeć rachuby.

Nie mniej doniosłym środkiem wychowania muzycznego jest wprowadzony w większych konserwatorjach „dyktat muzyczny“. Znany od dawna, ujęty w system nauki przez francuskiego pedagoga A. Lavignaca („Cours complet... de dictée musicale“), rozpowszechniony w Niemczech (H. Götze: „Musikalische Schreibübungen“) ma dyktat muzyczny na celu nietylko wykształcenie słuchu, ale jest najpewniejszym środkiem do zaznajomienia się ze wszystkiemi *zasadami* muzyki. Postępując od najprostszych elementów, dochodzi się do wprawy, mogącej objąć najbardziej skomplikowane zwoje polifonji. Dowodem — Mozart, który pod kierunkiem swego

ojca Leopolda przebył wytrawną „szkołę“ muzyki. Jako 14. letni chłopiec, posłyszawszy podczas pobytu w Rzymie w Syxtyńskiej kaplicy sławne dzisiaj „Miserere“ Allegriego, napisał je Mozart w domu z pamięci, tak, że niczem się nie różniło od oryginału, którego pod karą klątwy (!) nie wolno było śpiewakom ani kopiować ani ogłaszać.

Dzisiejsze wychowanie muzyczne musi uledz zmianie. Reforma w tym kierunku nie ma objawić się koniecznie jako gwałtowna rewolucja, którąby skruszyła podwaliny dzisiejszego systemu, ale jako powolne przeobrażenie się, oparte na zasadach zdrowej pedagogji, na współdziałaniu szkoły i — *sztuki.*

W Złoczowie.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Dr. C. Bouglè: Demokracja wobec wiedzy. Wydawnictwo Polskiego Towarzystwa Nakładowego. Lwów. 1906.

Przed laty kilku powyższa firma wydała, w bardzo dobrym przekładzie p. Zygmunta Poznańskiego, inne dzieło prof. Bouglègo p. t. „Idea równości“. W pracy tej socjolog francuski wykazał, na tle jakich warunków społecznych powstają przekonania, że ludzie są równi, że nie powinno być przywilejów stanowych... Autor, zupełnie słusznie, za punkt wyjścia tej pracy wziął objektywne zjawiska w życiu zbiorowem, a więc: rozmiary społeczeństwa, różnorodność jego grup, komplikacje, wynikające z ich wzajemnych stosunków i t. p. „Idea równości“ zasługuje też na baczną uwagę nie tylko z powodu wniosków, do których autor doszedł, lecz i ze względu na metodę, jaką się posługiwał.

W swoim czasie o tej książce napisałem sprawozdanie w „Tygodniu“. Nie idzie mi tu więc o ponowne omówienie powyższego dzieła, lecz o przypomnienie jednym i o poinformowanie drugich czytelników, że dwie prace Boulégo: „Idea równości“ i „Demokracja wobec wiedzy“ są w ścisłym ze sobą związku.

W drugiem z powyższych dzieł autor stawia sobie za zadanie: ocenienie dążeń demokratycznych z punktu widzenia nauki współczesnej. Dociekania socjologiczne w powyższym kierunku były tem potrzebniejsze, że w czasach ostatnich doktryny konserwatywno-arystokratyczne, w pewnej części społeczeństw europejskich, zdawały się odradzać i znajdować nowe argumenty dla swojego uzasadnienia w darwinizmie, zastosowanym do zjawisk społecznych, w szczególności zaś, w teorji dziedziczności i walki o byt. W antropologji powstał cały kierunek nowy, usiłujący uzasadnić przewagę klas panujących nad pracującemi, wyższością psycho-fizycznej organizacji pierwszych nad drugiemi.

Prof. Bouglé, w pracy swojej, poddał powyższą teorję sumiennej i wszechstronnej krytyce, opartej na najnowszych wynikach wiedzy współczesnej.

We wstępie autor wykazuje potęgę prądów demokratycznych, przytaczając zarazem argumenty różnych uczonych, skierowane przeciwko nim.

Część pierwsza poświęcona jest dziedziczności. Prof. Bouglé omawia szeroko dotyczące jej teorje i zatrzymuje się szczegółowo nad poglądami Weissmanna, który zaprzecza dziedziczeniu cech nabytych. Następnie przechodzi do omówienia skutków krzyżowania, w związku z zagadnieniem o arystokracji.

W części drugiej autor rozważa: zróżniczkowania się społeczeństwa w stosunku do postępu i wykazuje, jak często, w rozumowaniach dotyczących tego przedmiotu, dopuszczają się różni pisarze pomieszania ze sobą rozmaitych pojęć. Podział pracy w społeczeństwie nie musi bynajmniej iść koniecznie w parze z podziałem na klasy posiadające i pracujące.

Część trzecia poświęconą jest konkurencji. Autor, na podstawie nowszych prac specjalistów przyrodników, wykazuje, że walka o byt między osobnikami nie może objaśnić wszystkich zjawisk w dziedzinie ewolucji organicznej, że wielką rolę odgrywa też asocjacja osobników w walce z otoczeniem. Zresztą sama walka o byt między osobnikami prowadzi do innych skutków w społeczeństwach ludzkich, niż w świecie zwierzęcym. Prof. Bouglé wykazał też w sposób mistrzowski, że konkurencja w życiu ekonomiczno-społecznem nie odgrywa tak wielkiej roli i nie prowadzi do tak dodatnich skutków, jak to dowodzą często obrońcy obecnego stanu rzeczy w społeczeństwie. Zresztą konkurencja nie odbywa się w społeczeństwach ludzkich w sposób normalny.

Nie mogę tu w przybliżeniu nawet, z powodu braku miejsca, dać dostatecznego pojęcia o całem bogactwie treści książki prof. Bouglégo. Socjolog francuski zbił też w sposób mistrzowski pseudo-naukowe podstawy doktryn neo-arystokratycznych i burżuazyjnych. Książka jego daje też cenne podstawy dla demokratycznego światopoglądu. Tłumaczenie jest czasem wadliwe, nie pod względem ścisłości jednak, lecz ze stanowiska językowego. P. F. Nossig używa zbyt często i bez potrzeby wyrazów cudzoziemskich, jak: jurydyczny, generalny itp.

Książka Bouglégo nie tylko zaleca się bogactwem zawartego w niej rozumowania, słusznością wywodów, lecz cenną jest jeszcze przez to, że dowodzenie autora odznacza się metodycznością i wielką ścisłością. Niektóre poglądy, wypowiedziane przez Bouglégo, wygłaszali i inni przed nim; on jednak umiał lepiej, głębiej i wszechstronniej od nich uzasadnić je. Zalecamy też gorąco czytelnikom poznanie prac Bouglégo. Byłoby bardzo pożądanem, aby Pol. Tow. Nakł. wydało jeszcze inne jego prace socjologiczne, oraz niektóre publicystyczne, bardzo aktualne.

Ludwik Kulczycki.

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.